

POWIEŚĆ i NOWELA

bezpłatny dodatek dla prenumeratorów „Świata”
do N-ru 14-go z dnia 6. IV. 1935 r.

EDWARD ESTAUNIE
członek Akademii Francuskiej

10)

GŁOS Z ZA ŚWIATA

Nie wiem, czy jest pan w stanie wyobrazić sobie położenie ojca, który zostaje zawiadomiony o grożącym niebezpieczeństwie jego córce, a jednocześnie nie ma on prawa ani możliwości zbliżenia się do niej? W ciągu dwóch tygodni musiałem się zadowalać chodzeniem do klasztoru i błagać o wiadomości. Otrzymywałem słowny, treściwy biuletyn, na którym rodzina musi poprzestać; musiałem odejść, zostawiając obcym brzemieniu pielęgnowania mego dziecka. Nie mogłem podzielać mistycznej radości zakonnic, które mnie udzielały wiadomości. Czyż prędko i pobożny koniec nie jest doskonałą nagrodą, do jakiej wszyscy wzdychają? Po powrocie tutaj zakopywałem się na resztę dnia, jak zwierzę, śmiertelnie zranione, na tyle jeszcze wolny, że mogłem się rzucić z okna, lub błagać niebiosy z dziką żarliwością, by zakłęły piorun, aby nie mógł uderzyć. Wszystko to czyniło mnie warjatą: lecz i tej łaski mi odmówiono!

Wreszcie 27 lipca, gdy przyszedłem, jak zwykle, zostałem przyjęty przez samą Przełożoną: „Dzięki Panu Najwyższemu! Siostra Teresa z Sacré Coeur o wschodzie słońca szczęśliwie zasnęła w Bogu. Jedna święta więcej wejdzie do Królestwa Niebieskiego”.

Widzi pan, śmierć w ten sposób pojęta jest radością. Dziwić się należy, dlaczego Pismo święte przedstawia ją, jako karę.

Myśli pan może, że usiłowałem połamać kraty, dzieląc mnie od ciała mej córki? Odszedłem bez słowa, bez gestu, bez łez. W jednej chwili stałem się podobny do drewna w tym fotelu... odrętwiały... i takim jeszcze dotąd jestem. Zresztą, poco się mam skarżyć? Już od tak dawna cór-

ka dla mnie umarła! Nieprawdaż, że nie nowego nie zaszło, nie innego tylko poza zasłoną pozostałe przy życiu modła się z większą jeszcze radością?...

A więc dobrze! nie... Wszystko się zmieniło: poprzednio nie widziałem jej, była dla mnie straconą, ale ja *czułem, że ona żyje!* Poprzednio to tylko klasztor mi ją zabrał, to jest inne ludzkie istoty, zdolne, jak pan lub ja, do zmiany myśli, a nawet do wypuszczenia swej zdobyczy; podczas, gdy tym razem *złodziej jej nie zwróci!* Kradzież, oto właściwe słowo! i to w jakich jeszcze warunkach!... Choćby była najtrudniejsza sztuka życia, są pewne zastrzeżenia, które niem rządzą. Na przykład, rodzice umierają zwykle przed dziećmi. Odwrócenie tego porządku jest jakimś oszustwem. Dla mnie zaś śmierć poznała karty! Okradła mnie, powiadam panu, wbrew wszelkim zasadom, okradła, jak obdzierają jakiegoś prowincjonalistę w jaskini gry! I żadna policja wdać się w to nie może, żaden magistrat nie jest w stanie ukarać!...

Chyba pana nie dziwi, że tak okropne myśli powstają w moim mózgu. Widok matki z dziećciem, zaciska mi pięści. Gdy przechodzi jakaś młoda dziewczyna, zapytuję się: „Czemuż to nie ona umarła?” Nienawidzę młodości, która się rozwija, chorych, którzy zabrali pod słońcem miejsce mojej córki: światło, radość innych — mnie rozkrzyżowywa... To jeszcze nie: zwróćmy się do przeszłości, chciałbym osaczyć przeczuczanego przeze mnie przeciwnika, który nigdy nie dał mi się poznać, ale popchnął nas, to jest ją i mnie na drogę, gdzie ją tylko śmierć czekała!...

Ale pan potrząsa tylko głową... Proszę zacząć, jeszcze nie skończyłem... Gdyby nie to, co na-

stąpiło, czyż byłbym w możności zrobić ten nieprawdopodobny wysiłek, aby to opowiedzieć i czyż byłby pan tutaj?...

W trzy dni później powróciłem z cmentarza, gdy jakiś człowiek przyszedł do mnie — był to ksiądz, zdaje się, kapelan Klasztoru...

Zobaczywszy go, chciałem natychmiast drzwi zamknąć. Jakkolwiek go nie znałem, byłbym przysiągł, że on powraca stamtąd: miał jeszcze na sobie sutannę, przesiąkniętą kadzidłem, wilgotną ziemią i woskiem gromnic. Tymczasem nalegał, żądał prawie, aby być przyjętym; wreszcie wszedł i zajął akurat to miejsce, gdzie pan obecnie siedzi.

Zwrócił się do mnie ze słowami daremnej pociechy, czego nie słuchałem, przepraszał, że zakłóca mi pierwsze chwile żałoby; poczem nagle się zatrzymał: to, że przyszedł, wynikało z poleconej mu misji, którą zobowiązał się spełnić właśnie tego dnia.

— Oto — zakończył — dokument, który z rozporządzenia pani Przełożonej, a stosownie do życzenia, wyrażonego przez pańską córkę, jestem obowiązany doreczyć panu. Musi pan to przeczytać. Gdy się pan dowie, co zawiera, będzie panu łatwiej znieść nieszczęście. Był to ostatni akt pokory karmelitanki, której cnót nigdy nie przestanę wielbić, chciałbym przynajmniej mieć nadzieję — oczywisty znak Boski — że pan miał udział w wyborze tej świętej duszy.

Podał mi kopertę. Położyłem ją na tym oto stole.

— To dobrze, księże, dziękuję.

Czekał chwilę, myśląc, że zechcę przeczytać, ale ja się wcale nie kwapiłem. — Wreszcie powstał.

— Rozumiem pana, woli pan zostać sam, aby to przeczytać. Niechaj Bóg pana wspiera! O ile mi pan pozwoli, wrócę tu po jakimś czasie.

Drzwi się zamknęły; zostałem sam. Skupiłem całą uwagę na białej kopercie, na której nie było nawet mego nazwiska. Zdawało się, że pochodzi od mej córki, gdzie być może złożyła ona swoje prawdziwe myśli, gdzie znajdę, jak mnie zapewniono, pierwszą pociechę.

Czy zechce pan mi uwierzyć, iż prawie czterdzieści osiem godzin upłynęło, podczas których nie dotknąłem się jej, tak dalece obawiałem się, że znajdę tam jedynie pobożne frazesy, nadzieję odkrycia, że byłem jeszcze kochany i głuchy lęk przed nową boleścią.

Wkońcu zwyciężyła chęć zbliżenia się po raz ostatni do córki, wyjąłem kartki i czytałem.

Czy mam wyznać obecnie, że nie jestem w możności pokazania tego listu, raczej tej spowiedzi: spaliłem go. Nie była to nawet ręka Genowefy, zbyt już była słaba, aby mogła sama napisać. Zawierał w sobie, ostatecznie wryte... Są tam takie zdania, jakie można czytać tylko raz i które wyiskają się w pamięci rozpalonem żelazem. Tego ja panu nie powtórzę. Zbyt często od tej pory zapytuję się, czy nie byłoby lepiej — nie wiedzieć!... Aby pana objaśnić, należy streścić, co najważniejsze...

A więc z początku błagała mnie o przebaczenie, tak, o przebaczenie, że mnie opuściła, że wymknęła się z tej ogromnej czułości, jaką ją obdarzałem, i że nie może mi tego oddać...

Wiem, że w wigilję swoich obłóczyn pisała mi podobne rzeczy. ale wówczas musiała być posłusz-

na regule, podczas, gdy obecnie nie jej nie zmuszało, aby w ten sposób wspominała naszą przeszłość, nie jej nie obowiązywało do usprawiedliwiania się. Ciąg dalszy zawierał to samo.

Akt pokory, powiedział kapelan. Doskonały akt skruchy? możliwe... Przedewszystkiem jednak obowiązek wytłumaczenia się przede mną, jako ojcem, dlaczego byłem tak dręczony i co za wyższy fatalizm podyktował te wypadki.

Skoro w istocie, córka moja zmarła jako karmelitanka, skoro pan mnie tu widzi obdartego, samotnego i złamanego, to dlatego, że córka moja wierzyła, iż zabiła jakąś duszę, i aby znaleźć odkupienie wobec Boga, musiała poświęcić swoją. A teraz przypuśćmy, że *tamtego* nie było, córka moja nie zostałaby nigdy zakonnicą, ja nie przechodziłbym swych cierpień i prawdopodobnie błogosławiłbym życie. Odrzućmy nabok wszelkie religijne frazesy, wyrzuty sumienia grzesznicy, przytłoczonej brzemieniem wątpliwego błędu, co pozostanie z tej spowiedzi mej córki? *Tamten*. Gdyż w Semur oczy moje dobrze widziały. Ze wszystkich sił, całą swoją istotą uwielbiała *tamtego*! Czy w dalszym ciągu dramatu *tamten* znikł, grożąc, że się zabije? jak córka moja zgubiła ślad jego? czy też przypuszczała, że groźby dotrzymał? jakim wreszcie sposobem doszła do tego, aby się usprawiedliwiać? nie mam o tem pojęcia i zresztą w jakim celu miałbym szukać rozwiązania zagadki? Ach, gdyby choć była otworzyła mi swoje serce, nieprawdaz? jasne byłoby wszystko, rozproszyłbym te szaleństwa: sprowadziłbym jej *tamtego*, dotychczas jeszcze szczęśliwie żyjącego! Podczas, gdy obecnie... Teraz, panie, córka moja umarła, ja chciałbym również nie żyć, to wszystko zrobił *tamten*, *ktoś* — o kim córka moja nie wiedziała nawet, że się zjawi, *tamten*, którego nazwiska ja dotychczas nie znam... Poprzednio oskarżałem Boga; teraz muszę Go nie tylko oskarżać, ale i nienawidzić!

I tak: gdziekolwiek znajduje się ten człowiek, którego kochała, a który wzgardził mą córką, a ona wszystko dla niego poświęciła, nie wyłączając mnie. Dlaczego człowiek ten zdołał przodemną umknąć? Idźmy dalej! mamże stracić resztki mego majątku i życia? ja domagam się, żądam, ja muszę go dosięgnąć!

Teraz pan rozumie, dlaczego pan tu jest i mnie słucha?

Od dwóch miesięcy przetrząsam przeszłość, badam, szukam poomacku... Ach, wszystkich tych ludzi, których mogliśmy znać, jakże ja ich wypytywałem, posądzałem, osądziłem... Nie jeszcze, najmniejszego światelka, któreby, nie wyjaśniając, choć ślad wskazało! I nagle pan się zjawia!... Pan, który powinien wiedzieć... i który być może wie...

Nagle ujrzałem otwarty widnokrąg. Zdawało mi się, że to moja córka sama przywiodła pana, aby wreszcie położyć kres tej ostatniej udreće. Ona tam była, rozkazując mi, abym nie nie opuścił, wzmacniając wyjaśnienie pańskich podejrzeń, lub lepiej — aby uzasadnić pańską pewność. A teraz na pana kolej. Gdy się było tak bardzo, jak pan, wmieszanym w codzienne życie miasta, wiadome było wszystko, co się dzieje. Czuję, jestem tego prawie zupełnie pewny, że pan się nie zawaha... Proszę, powiedz mi pan! Kto był *tamten*? Komu zawdzięczam to piekło, w jakie wpad-

lem? Och, proszę nie odwracać oczu... Nawet, gdyby to przypadkiem był pan, nie powinienś milczeć! Proszę mówić... ja już wszystko powiedziałem... czekam...

VIII.

Zatrzymajmy się chwilę, zanim opowiem tę scenę.

Jasne jest, że ktokolwiek byłby słuchaczem, obojętność jego musiałaby stopnieć w promieniach cierpienia, otaczających pana Lormiera, choćby wynikały one, jak to osądziłem, z namiętnej zazdrości, jaką żywił ten ojciec?

Podziwu godna jest również pomysłowość cierpienia, wciąż odnawiającej się rany. I jakże mądre stopniowanie! Z powodu lekkiego niedomagania córki, widziałem kiedyś Lormiera, trzęsącego się ze strachu, na samą myśl o jej śmierci; obecnie stracił ją po dwakroć. Komuś innemu, kto w zwykły sposób kocha swe dziecko, nigdy nie podobnego przytrafiłoby się nie mogło; ale wyjątkowy ojciec ma wyjątkowe zdarzenia. Aby zostać wybranym, wystarczy być najodpowiedniejszym do kosztowania goryczy tego napoju...

Pośród tych wszystkich gruzów, jedno ważne życzenie wzrusza serce nieszczęśliwego. Choćby to życzenie było najbardziej bezsensowne, niemniej ono istniało. Słusznie lub nie, Lormier pragnął poznać *tamtego*. Czy powinienem mu odpowiedzieć i poddając się prawdzie, która błyskawicznie rozjaśniła mój umysł, wyjaśnić mu ją w celu uspokojenia?

Istotnie, wypadki ułożyły się dla mnie w jakiś szereg zjawisk umysłowych; nie kuszę się nawet o ich rozwiązanie, wystarczy mi już, gdy je spostrzegę. Zaledwie Lormier skończył opowiadanie, gdy nagle przed memi oczyma zjawił się obraz: La Gilardièr.

Dlaczego właśnie on? jakie przyczyny go wywołały? Pewnego dnia przeszedł mimo nas i panna Lormier udała, że go nie widzi. Innym razem pan Lormier mówił o nim źle, wyraźnie na słowo swej córki. Wkońcu La Gilardièr wyjechał, Lormierowie również wyjechali: zbieg okoliczności, nie więcej.

A jednak dziś jeszcze mam wewnętrzne przekonanie, że się nie mylę: La Gilardièr musiał być *tamtym*. Jeżeli, jak p. Lormier mniemał, córka jego przywiodła mnie tutaj, abym go objaśnił, uczyniła jeszcze więcej: podsunęła mi to imię! Nie mogłem być na to głuchy!

To jeszcze nie wszystko: w chwili, gdy zostało mi to narzucone, gdy już miałem otworzyć usta, aby przychylić się do prośby pana Lormiera i ulżyć mu choć chwilowo, o co błagał wielkim głosem, jakaś równie rozkazująca siła wewnętrzna, jak owa sugestia nazwiska, rozkazała mi milczeć.

Niechaj kto zechce — zrozumie! Zdawało się istotnie, że światło odsłoniło mi to, aby tem lepiej ochronić. Panna Lormier zjawiła się nagle, aby mi nakazać milczenie, gdyż uczułem taką samą niemoc, aby zdradzić to, co od tej chwili uważałem za pewność. Nie wiem, czy zmarli przybywają, aby z nami rozmawiać; jeśli to czynią, musi to być dokonane w sposób tajemniczy, niewidzialny, jako wola, przed którą uciec niepodobna... Choć chciałem z całej duszy zadość uczynić ży-

czeniu Lormiera, musiałem, przeciwnie, zatrzeć jego ślady! Gdy rzucił te słowa: „Mów pan, ja już wszystko powiedziałem, czekam!“, nie wyrzekłem nazwiska La Gilardièr, ale słowa, które mnie samego zdumiały, tak były dziwne.

— Niestety! drogi panie, widać takie jest przeznaczenie, że panu dostarczę nowego rozczarowania. Z pańskiego opowiadania usiłuję wyciągnąć wnioski, natrafiam jedynie na myśli więcej beznadziejne, jak użyteczne. Nie, *tamten*, jak go pan nazywa, nie mógł mieszkać w Semur. Mieszkając w Semur, gdyby był nawet najrzęczniejszy, nie uniknąłby zainteresowania otoczenia. Otwarcie, lub pocichu, mówiono o nim. Oprócz tego, mogę przysiąc na to, że nigdy nie słyszałem żadnego wymówionego nazwiska łącznie z pańskim. Co więcej, zawsze byłem zdziwiony ciszą, w jakiej was pozostawiono. Złośliwość małych miasteczek posiada wrodzony zmysł: możliwe jest, że od pierwszego dnia zajmowano się wami... może później się to zmieniło: proszę mi wierzyć, *tamten* mieszkał gdzieindziej, może nawet w Paryżu, lub jeszcze dalej... Mogło to być we Francji, lub gdzieindziej... Ale szukając przeznaczenia, można przetrząsnąć w ten sposób świat cały? Czy nie byłoby rozsądniej zajrzeć prosto w oczy temu zawodowi, i wyrzec się rozwiązania tajemnicy, która ma tak mało szans prawdopodobnego powodzenia.

Mówiąc to, unikałem wzroku p. Lormiera. Natomiast z rytmu jego oddechu mogłem śledzić jego wrażenia. Lormier wstrzymał na chwilę oddech, poczem nanowo zaczął oddychać, z początku wolno, potem coraz szybciej. Gdy skończyłem, miałem wrażenie, że rzucił się na mnie całym ciałem; wyczekiwałem skoku. Nie ruszył się z miejsca.

— A więc sądzi pan, że *tamten* jest w Paryżu?

Potrząsnąłem głową, ciągle nie patrząc na niego.

— Powiedziałem w Paryżu... lub gdzieindziej.

— Czy to już wszystko, co pan znalazł?

— Wszystko... żałuję...

Ramiona wzniosł do góry; ironiczny uśmiech wykrzywił mu usta:

— Winszuję! jest pan dyskretny.

Nie mogłem powstrzymać drżenia:

— Dlaczego dyskretny?... wystarczy: nieświadomy.

Zrobił kilka kroków po pokoju, cały pogrążony w myślach. Powróciwszy do mnie, zatrzymał się. Czułem się, jak na rozżarzonych węglach.

— A jednak — rzekł — czytam w pańskich oczach, że pan ukrywa, czego pan nie chce powiedzieć!

Przerażony jego jasnowidzeniem, zrozumiałem odrazu, że pragnie pominąć moje wykręty. Nie pozostawało mi nic innego, tylko zmienić front.

— W istocie — odpowiedziałem śmiało — jest jeszcze coś, ale powstrzymuję się z wypowiedzeniem tego, w obawie zadrażnienia pana.

Wstrząsnął ironicznie ramionami.

(d. c. n.)

(Przekł. autoryz. Zofji Dygasińskiej-Wolertowej)

(Z ciekawego tomu nowel p. Szemplińskiej, jaki niedawno p. t. „18 spotkań“ ukazał się na półkach księgarskich, podajemy jedną nowelę, poprzedzając ją sprawozdanie z całej książki, które zamieścimy w najbliższym numerze).

Moszek Szpicelbaum, dorobiwszy się w swym sklepie trochę grosza, kupił plac na peryferiach miasta. Było to przed kilkunastu laty. Plac leżał na pustkowiu. Żona Moszka często mu wymyślała: „włożyłeś pieniądze w trupa“ — mówiła.

— Poczekaj — odpowiedział Moszek. — Czy się denerwujesz? Co się rzucasz? —

Moszkowa nie umiała czekać. Rzuciła się i denerwowała w dalszym ciągu, a wreszcie umarła. W dwa lata po jej śmierci Moszek doczekał się zmartwychwstania swego trupa. Miasto wyciągnęło magiczną dłoń, i trup zadrżał, jak galwanizowana żaba. Przychodzili kupcy, chcieli kupować plac, ale Moszek odmawiał wszystkim, twierdził, że ma taką fantazję trzymać pusty plac, ten nieużytek, i trwał przy swoim. Miasto rozrastało się, miasto przybliżało się ku Moszkowi, ku placowi, cena placu rosła. Wokół wykwiwały wille, ogrody, spółdzielnie, drapacze, w kształcie pudełek, w kształcie skrzyń, czerwone, zielone, żółte, pełne kwiatów, muzyki, piękna, luksusy.

Przeprowadzano linie tramwajowe, kanalizację, elektryczność, gaz, a Moszek trwał przy swym placu, podobnym do szarego strupa na ogrodowo betonowej, lśniącej skórze nowej dzielnicy.

Raptem przyszedł kryzys. Moszek się przeraził, w sklepiu sprzedawało się coraz mniej, nikt już nie nagabywał o plac.

Czyżby zmarła przed piętnastu laty Ryfka miała rację? Czyżby Moszek był nadto cierpliwy? Czy powinien był denerwować się trochę więcej i sprzedać trupa, zanim zdechł powtórnie?

Moszek się przeląkł.

Przez całe życie odmawiał wszystkiego sobie i swej rodzinie, mydła i bułek, nauki i kina. Wyschły i nieugięty, twardy, jak głaz, z fanatyczną tęsknotą zapatrzony w daleki cel, w plac, a potem w jeszcze dalszy, w zysk ze sprzedaży placu, ciułał pieniądze, z rezygnacją przyjmując narodziny i śmierć nędznych dzieci, na których karmienie i leczenie nigdy nie było środków.

To, co miało nastąpić jeszcze później, po sprzedaży placu, po otrzymaniu zań zwielokrotnionego wkładu, nie było realne, nie określało się żadnym konturem, to była mgła, różowa mgła, samo szczęście, i w tych dobrych czasach, gdy miasto rosło, gdy kupcy pytali o plac, zasypiając, widział Moszek różową mgłę, a jego dzieci, starawa wdowa i głupkowaty wyrostek też widzieli mgłę, piankę różaną, malinowe szczęście, i zasypiając, szeptali, cmokali z tęsknoty, z nadziei, ze szczęścia.

Moszek się przeląkł.

Różowa mgła odfruwiała, rozwiewała się, znów wyraźnie było widać brudny sklepik, zapluty chodnik przed sklepikiem, jałowe żarcie, pożółkłe dłonie, zgarniające żółte grosze, podarte podeszwy, nabrzmiała chorą wątrobę.

Fabryki stawały, budownictwo zamierało, na plac, przez dziurawy parkan, włączili bezdomni i rozpalali ognisko, podsycając je deskami z parkanu.

Wreszcie parkan zniknął zupełnie. Moszek denerwował się coraz bardziej, chorował na serce i wątrobę, gorączkowo przerzucał gazety, gorączkowo radził się innych Moszków, innych sklepikarzy i „posiadaczy“.

— Czy to prawda — pytał, i sine usta mu drżały, i żółte ręce mu się trzęsły — czy to prawda, że „kapitalizm się przeżył“, że on, tak mówi mój wnuk Icek, zdechnie na tę kryzysową chorobę?

— Nie bój się! — odpowiadali Moszkowie. — Nie bój się! — krzyczeli.

Najgłośniejszy krzyczeli ci, co największe mieli sklepiki, i apetyty, i długi.

— Nim on zdechnie, niejednego zastrzyk dostanie, niejednego szczeniaka-krzykacza rozdepcze!

Rząd się postarał o pożyczkę, Francja zaofiarowała ją na słonych warunkach. Przyszedł do Moszka kupiec.

Gdy Moszek brał pieniądze, ręce mu zadygotały, a na żółte wschodnie policzki wystąpiły nerwowo-wątrobiane wypieki.

Pieniądzy było o wiele więcej od tych, którymi płacił za plac. Ale było ich z dziesięć razy mniej, niż ofiarowywano mu przed „wybuchem kryzysu“.

Nie były to zresztą pieniądze za cały plac, lecz za pół. Spółdzielnia, pertraktująca z Moszkim, nie mogła sobie pozwolić na większe, niż pięciopokojowe mieszkania, w tak ciężkich czasach, i nie potrzebowała całego placu na swą kamienicę.

Moszek wkrótce umarł na serce czy na wątrobę, oszukany o całe życie, ograbiony z młodości, zdrowia, szczęścia i różowej mgły.

Przed śmiercią myślał o swojej żonie, tęsknił nawet do niej, po trzydziestu latach życia z nią „jak pies z kotem“, po piętnastu latach zupełnie niemyślenia o niej. Teraz sądził, że była mądrą kobietą, że gdyby jej słuchał, sprzedałby cały plac, i nie chorowałby ze zgryzoty, i nie umierałby może teraz, ograbiony, oszukany, niewiadomo przez kogo.

Pomieszało się coś w filozoficznych rozmyślaniach Moszka, jęknął, przewrócił białka, wyszczerzył zęby, umarł.

— Widziałeś, jak wyszczerzył zęby? — powiedziała żółta, chorowita, starawa córka Moszka, wdowa z pięciorgiem dzieci, do wyschłego, chuderlawego, głupawego brata, dziedzica sklepiu i połowy pieniędzy za sprzedaną połowę placu.

— Tak — odpowiedział brat. — Więc co?

— Więc on pewnie matkę zobaczył. Nie pamiętasz, jak się wyszczerzał, ile razy doszła do niego po pieniądze na naftę albo na mydło?

— Nie pamiętam — powiedział brat. — Czy ty nie wiesz, że od tej pory, jak mnie zbili spowodu, że jakiś motocykl wjechał na mój wózek z jabłkami, ja nie nie pamiętam?

— Wiem — odrzekła wdowa, dziedziczka niesprzedanej połowy placu i połowy pieniędzy

za sprzedaną połowę, i poszła wynajmować plac na skład węgla.

Spółdzielnia o mieszkaniach spowodu kryzysu tylko pięciopokojowych, wyrosła, na sześć pięter nad wdowią połową placu.

Front miała zdobiony złotymi tafelkami, balkony bordo, na balkonach szafirowe skrzynie z różnobarwnymi kwiatami, z petunjami, pelargonjami, begonjami, na dachu tarasy, na dole ogródek dla dzieci spółdzielców, śmieszny, geometryczny ogródek, z krzaczkami bzu, z trawnikami, obłożonymi białymi kamykami, z basenem, z ławeczkami bordo. Ogródek otoczono wysokim, popielatym murem, doskonale harmonizującym z całością. Za murem była wdowia połowa placu: skład węgla, białoczarny ustęp, wielkości szafki, budka dozorczy, wielkości trochę większej szafki, w której gnieździła się rodzina, złożona z siedmiorga dzieci i trojga dorosłych.

Za murem, w innej budce, — okienko jej nie większe od sporej książki wychodziło wprost na dół kloaczny biało-czarnego ustępu, przykryty czarną deską, — mieszkał piaskarz.

A dalej były stajnie, skład beczek, węgiel, pył węglowy, wozownia, kupa piasku, dziurawe budy głodnych, niewiedomo czego pilnujących, wyjących całymi nocami psów i mieszkania przekupniów, inwalidów, praczek, prostytutek.

Wieczór majowy, granatowo-zielony, spływał z tarasów spółdzielni na jej olbrzymie lustrzane szyby. Księżyc wytoczył się z ciemno-szafirowego nieba, gorący, wonny, płomienisty, jak ogromna pomarańcza.

Wiatr przywiewał na tarasy i do pięciopokojowych, spowodu kryzysu, mieszkań, woń siana z dalekiej, wilgotnej łąki, woń dali, wieczoru, księżycy. Widok z tarasu był wspaniały, budził w patrzącym poczucie mocy i wolności.

Oczy, swobodne jak ptaki, jak furczące nad głową aeroplany, płynęły nad polami Okęcia, nad budynkami Ochoty, tak malowniczymi z tej wysokości, nad wieżami kościołów, wąwozami ulic.

Na wdowim placu nie pachniało, nie płońnęło księżycem, nie wiało dałą. Tam, w pyłe węglowym, bawiły się dzieci. Dwaj mali Żydzi w chałatach i w jarmułkach i trzej mali, bosonodzy Polacy posadzili na wozie najmniejsze ze swego grona, stworzenie nieokreślonej płci, wieku i przynależności rasowej, wyznaniowej, narodowej. Zato przynależność społeczna była zupełnie wyraźna. Małe płało się bezradnie w kapocie do pięt, na głowie miało czerwoną szmatę, pół beret, pół chustkę i usmoloną, siną twarz, wielkości dużego jabłka. Mali Polacy i Żydzi, usadziwszy to najmniejsze na wozie, rzucali w nie kartoflami, kawałkami drzewa, piaskiem. Małe skuczało, płało się bezradnie w długiej kapocie, zasłaniało rozczapierzonymi palcami usmoloną twarz wielkości jabłka.

Jeden z rzucających, schyliwszy się po piasek, znalazł szpulkę od nici. Obstąpiono go, odebrano mu szpulkę przemocą, a potem, ponieważ małe wciąż skuczało, wepchnięto małemu szpulkę do ust. Teraz małe przestało skuczeć, poruszało językiem i wargami, próbowało szpulkę usunąć, próbowało wyjąć ją rękami, ale rękawy były za długie, spadały na palce, krępowały każdy ruch. Małe nadepnęło na kapotę i przewróciło się

w siano. Polacy i Żydzi usiedli na poręczach wozu, wokół małego, które raptem zasnęło, opłatanie kapotą, ze szpulką w ustach, z usmoloną twarzą zarytą między wonne, zakurzone, zielone źdźbła.

— Jest pan niemożliwy — szepnęła inżynierowa na tarasie. — Lada chwila przyjdzie mój mąż.

Doktor nie przestawał być niemożliwy, jego żona poszła opowiedzieć sędzinie sprzeciwka, że dyrektorowa z pierwszego sprawiła sobie trzecią w tym sezonie toaletę, co wobec skarg dyrektora na redukcję pensji wygląda bardzo podejrzanie. Albo żona się puszcza, albo mąż bierze łapówki. Roztrząśnięcie tych dwu możliwości zabierze niewiele czasu; doktor, spokojny, że jego żona nie zaskoczy, nie zdejmował ręki z kolana inżynierowej, z czułym oddaniem głaskał różany jedwab ciała, perłowy jedwab pończochy, nasłuchując jednocześnie, czy nie trzeszczą po schodach półbuty sędziego.

Koń piaskarza, dotąd nieodprzęgnięty, ponieważ piaskarz, wszedłszy do swej budki z widokiem na dół kloaczny, zasnął, nie zdążywszy dojeść kartofli z solą, miał wielką chętkę na siano.

Cierpliwie dźwigając na wyleniałym, owrozdżonym grzbiecie uprząż ze skóry, powiązanej drutem, i olbrzymie chomąto, coraz odwracał głowę ku wonięjącemu jadłu, wyciągał pysk, rozdymał nozdrza, poruszał miękkimi, obwisłymi wargami. Lecz na sianie leżało złośliwe, ludzkie szczenię, lecz wokół siana siedziało pięcioro złośliwych, ludzkich szceniąt. Koń za nic nie chciał zwrócić na siebie ich uwagi, cierpliwie czekał dalej; z kątów jego pyska, wywołane wonią siana i pożądliwością marzeń, zwisały dwa sznurki śliny. Nagle szczenięta ludzkie, nieobliczalne w swych reakcjach, zamiast rzucać piaskiem, albo szarpać za grzywę, zaczęły podawać śmiesznie bezradnemu pyskowi konia garście siana, wyrrywając je spod głowy śpiącego malca.

Zobaczył to śmieciarz, wóz należał do niego, siano należało do niego, kupił je dziś dla swego chorego konia, chwycił bat, skoczył ku chłopcom, ganiał ich, krzyczących, po podwórku, długim, węzlastym sznurem bąta sięgał nagich nóg i pleców, gorliwie obcierowanych, oblatanych przez matki, wieczorną godziną, w skąpem świetle nafty.

Chłopcy, obleciawszy parę razy wkoło, wybiegli na ulicę, śmieciarz, klnąc, dysząc głośno, mocno depeząc ziemię, wrócił do swego wozu. Siano nie zostało nawet połowy, na sianie spało zamarusane małe, nieokreślonej płci i rasy, zakutane w burą kapotę.

Schwycił je za kark, cisnął o ziemię, a potem bat odwrócił, cieńszy koniec chwycił w garść, grubszym jał prać po pysku, po nogach, po miękkich wargach kwiczącego konia, który zżarł jego siano.

Piaskarz przebudził się. Pijany od snu i zmęczenia, wyleciał na podwórze. Za nim jego żona i jego małe. Wszystko to sypnęło na śmieciarza. A oto i matka tego ze szpulką, skuczącego bezradnie na ziemi, wśród nóg walczących.

Matka dołożyła co mogła za swe małe. Szorstkimi, rozpuchłymi od prania rękami szarpała śmieciarza za włosy i ubranie, przesiąknięte odorem śmieci.

Żona śmieciarza, co tchu, rozczochna, z wartami do krzyku ustami zdążyła na pomoc, dźwigając na ręku niemowlę. Z obu jej stron biegło dwu zasmolonych, rachitycznych trzy- lub czteroletnich chłopców.

— Policja! — zawyla śmieciarzowa. — Policja! — i skoczyła naprzód. Chłopcy nie zdążyli za matką, stracili równowagę, runęli wtył, nie puszczając fałd jej spódnicy. Pociągnięta znienacka, kobieta przewróciła się nawznak. Chłopcy uciekli czempredzej, a ona długo gramoliła się na ziemi z najmniejszym umazaniem w pyłe węglowym.

— Dam ja wam! Policja! — krzyczała, nie wiedząc dobrze, czy wzywa policji przeciw swym dzieciom, czy na ratunek mężowi.

W geometrycznym ogródku, odgródzone popielatym murem od placu nędzy, bawiły się dzieci.

Dziewczynki nosiły powiewne, jasne sukienki, chłopcy białe bluzki i kolorowe spodnie. — Wysoka, rumiana bona prowadziła na pasku niemowlę, rozkosznie opierzone w biele, hafty i koronki.

— Jak tam krzyczą! — powiedział chłopczyk w różowej koszuli. Na kolanach trzymał brązowego, lśniącego, tłusciutkiego jamnika, o pyszczku ociekającym zadowoleniem.

— Tam pewno mieszkają djaby — odrzekła dziewczynka i potrząsnęła lokami.

Błękitna kokarda zahybotała na jej głowie, jak ogromny motyl.

Z tarasu obserwowano bójkę za murem. Z wysokości siódmego piętra mrówiły się w dole nę-

dzarze wyglądali śmiesznie, nieszkodliwie, a nawet sympatycznie, jak pajace na arenie cyrkowej.

— Co za ludzie — powiedziała pani dyrektora do pana sędziego. — Co za brud, co za niechlujstwo, co za okrucieństwo!

— Obawiam się, czy dzieci nie słyszą czasem wymysłów i klątw, — zaniepokoiła się inżynierowa — jakie nie schodzą z ust tych ludzi. Toż to ognisko demoralizacji!

— Natychmiast wnoszę projekt do zarządu, aby podwyższono popielaty mur. Przypuszczam, że państwo mnie poprą? — spytał doktor.

Sprawy osobiste, intryżki, zawiści, podejrzenia, plotki znikły. — Panie i panowie, zgromadzeni na tarasie, poczuli się nagle dziwnie sobie bliscy, zjednoczeni potrzebą wspólnej obrony przed mętnem niebezpieczeństwem zza płotu.

— Ależ! Bezwzględnie! Naturalnie! — odrzekł zgodny chór głosów.

Księżyc, olbrzymia pomarańcza, toczył się nad tarasami. Z dalekich łąk wiało sianem, wieczorem i majem w lustrzane szyby spółdzielni.

Tam w dole — kotłowało się hałaśliwie czarne mrowie.

Naraz zawirowały białe talerze czapek, skoczyły i opadły białe mankiety, mrowie rozbiegło się, krzyk chlusał w górę, mocniejszy niż dotąd, i opadł nagle.

Na środku placu czernił się ludzki, rozciągnięty płasko kształt. Nad nim wyła rozwichrzona, ruchliwa sylwetka, obrośnięta jak dzewo grzybami, trójką krzyczących dzieci.

— Policja wkroczyła. Zrobią porządek — powiedział ktoś na tarasie.

A. ZORICZ

10)

POWIEŚĆ LEKKOMYŚLNA

Nieglupi, ambitny i samolubny — dzięki tym właśnie cechom miał szanse powodzenia. W przyszłości widział siebie dyrektorem wielkiego trustu handlowego, mieszkającym w pięknym domu na jednej z lepszych ulic śródmieścia; będzie miał własny samochód i rasowego psa w srebrnej obroży, i będzie odbywał służbowe podróże zagranicę.

Przyszłą swą żonę, chociaż komunistkę, wyobrażał sobie zawsze wystrojoną w futra i jedwabie i tańczącą fox-trotta. O dzieciach nie myślał. Nie lubił dzieci, uważał je za kulę u nogi.

Do celu, który sobie wytknął, zmierzał uparcie, nie cofając się przed niczem, nie uznając żadnych skrupułów, nie pomijając żadnej sposobności, — a jednocześnie ani na chwilę nie tracąc zimnej krwi ani równowagi.

Oszczędny i wyrachowany nawet, gdy wycierał nos, wyszukiwał w chusteczce miejsce, które już raz były w użyciu, żeby jak najmniej ją zbrudzić i jak najrzadziej prać. Jego życiowa filozofja sprowadzała się w ogólności do tego, że z życia należy brać tyle, ile można zagarnąć obiema rękami. I im bardziej mu się to udawało, tem bardziej pogardzał rodzicami, którzy w ciągu tylu

lat nie potrafili się wybić. Ale napozór zachowywał się w stosunku do nich poprawnie, i mógł w oczach ludzi uchodzić za kochającego syna. Skrzydła u ramion dopiero zaczynały mu wyrastać. Uważał, że za wcześnie jeszcze na zerwanie z rodziną, bo nie miałby się kto o niego troszczyć i mogłoby to źle odbić się na jego zdrowiu, o które bardzo dbał. I teraz, chcąc załagodzić nietaktowne odezwanie się Serafimy, rzekł:

— Nie, drzwi rzeczywiście są cienkie. Kiedy ptaki świergocą w komórce, zdaje się, że to tuż nad uchem. Zwłaszcza jeden drze się od rana do nocy, że aż głowa boli.

Ziablikow pochylił się ku niemu, zachichotał, zakrył ręką usta i szepnął:

— Już się więcej nie będzie darł.

— Dlaczego?

— Zobaczysz. Ale bądź spokojny. Już go nie usłyszysz nigdy.

Zaczęli omawiać sytuację. Ziablikow najbardziej obawiał się Wiery. Wydawała mu się szczególnie wojowniczą i nieprzejednaną, i widocznym było, że ma duży wpływ na swych towarzyszy. Uważał, że Żorż powinien się zająć nią specjalnie.

Żorż zmarszczył czoło, jakby myśląc o czemś usilnie. Po chwili rzekł:

— Dobrze, tatusiu. Muszę przyznać, że ta dziewczyna wogóle bardzo mi się podoba. Przyjrzalem się jej dobrze. Cicha, skromna, rozsądna, a przytem dobrze widziana w wyższych sferach. Prócz tego nie zawadzi mieć w rodzinie choćby jednego członka partji.

Ziablikow zaniepokojony spojrzał na syna i energicznie puścił w ruch palce.

— Zawczasie jeszcze na ożenek! Nie pleć głupstw, synku!

— Dlaczego. Medycyna, tatusiu, radzi żenić się zamłodu. To jest konieczne dla zdrowia.

— Nęci pana rodzinne szczęście? — zapytał z ironją inżynier. — Jest to w obecnych czasach artykuł mocno deficytowy.

Rozmowy te, jak wogóle wszystko, co wychodziło od Ziablikowych, drażniły go. Czuł, że właściwie niepotrzebnie się z nimi wiąże. Lecząc w tej chwili przypomniawszy sobie Wierę, bluźnąc przepasaną rzemieniem, włosy ostrzyżone pod zero — i pomyślał, że wszystko jest lepsze, niż taka chodząca „politgramota“ w spódnicy. I rad był, że w planie ogólnego ataku jemu polecono zająć się Tanią. Nie znał jej bliżej, lecz podobala mu się, gdyż biła od niej młodość i tak ładnie zakręcały się końce jej gestych rzęs.

Ziablikow zastrzegł dla siebie nowego lokatora, Michiejewa. Oczekiwano jego przybycia z dnia na dzień, i Ziablikow nieraz godzinami wystawał przy oknie, by spotkać się z nim wcześniej od innych i odrazu zagarnąć do swego obozu. Serafima oficjalnie nie brała udziału w tej akcji. Jeśli chodziło o inżyniera, to nie było na co liczyć, Michiejew zaś nie zjawiał się, — więc na wszelki wypadek, spotykając się z Wieszką, rzucała mu znaczące spojrzenia. Stało się jej już obojętne, kto wpadnie w jej sidła; lata miały, debiutu nie uzyskała, w domu było nudno, i za wszelką cenę chciała się z niego wydostać i wreszcie urządzić własne życie.

— Zawarłam bliższą znajomość z pewnym młodzieńcem — rzekła ospale do ojca — patrzy na mnie tak jakoś dziwnie. A w oczach ma coś demonicznego.

Ziablikow machnął ręką.

— Słyszeliśmy to już nieraz, moja droga.

— Nie, teraz naprawdę. Widzę, że wciąż szuka okazji, by się ze mną spotkać. Naprzykład wczoraj wychodzę z łazienki, a on już stoi i czeka. Zajął i mówi: — „czy nie wie pani przypadkiem, co to za świnia smarcze codzień do umywalni?“ I patrzy na mnie tak tajemniczo, a głos brzmi wzruszająco...

Inżynier skrzywił się... Ziablikow wyprostował dumnie swe zapadłe piersi.

— A to dobre! We własnym mieszkaniu nie wolno mi nosa wycierać! Do czego doprowadzili kraj! Powiadają ci, że niewarto zadawać się z tem straszidłem. Też narzeczony — myślałby kto! Przytem dowiedziałem się z całą pewnością. Michiejew lada chwila wprowadzi się.

Żorż pochylił się ku siostrze.

— Szczęście trzeba chwytąć w lot, Serafino. Idź i oczyść zęby.

— Ma rację. — Ziablikow wstał, zamykając tem obrady. — Chcesz wyjść zamąż, a zęby jak-

by mchem porosły. Już na sam widok takich zębów narzeczony może uciec przez okno.

— Jak Podkolesin? — zauważył z uśmiechem inżynier.

— Co takiego?

— Jak to opisuje Gogol w jednej z nowelek.

Żorż zamyślił się, a po chwili rzekł z głęboką miną:

— Czytałem „Rewizora“. Nie rozumiem, co ludzie widzą w tem nadzwyczajnego. Prawdę mówiąc, ten horodniczy, to skończony osioł. Jak można tak tracić głowę przy pierwszej rewizji?

VII

Wypadki rozegrały się inaczej, niż to było przewidziane w planach. Naprzód przypadkowo spotkali się w okrągłej sali Wiera z inżynierem.

— Przepraszam — zwrócił się do niej inżynier, — gdzie jest przyjaciółka pani? Chciałem zaprosić ją na Harolda Lloyda. A może i pani z nami pójdzie? Coprawda trochę się przemówiliśmy, ale ja już zapominałem o tem i byłbym bardzo rad...

— Nie pójdę na Harolda Lloyda — odrzekła Wiera sucho, nie lubię widowisk, pozbawionych ideologii klasowej.

Nie mogła wybaczyć mu tego, że nazwał ją małpą. Stąd płynęły jej niechęć i chłód. Inżynier udawał, że tego nie widzi.

— Więc co pani lubi w kinie?

— Obrazy, przedstawiające życie kolektywu.

— A nigdy nie ma pani chęci zabawienia się poprostu, bez żadnej ideologii?

— Nigdy.

— Naprzykład, pobawić się w berka, lub puścić fajerwerk.

— Fajerwerk to reminiscencja tradycyji feudalnych.

— No więc wpaść do ogrodu i narwać wieniec z drzewa?

— Jedzenie nie jest funkcją dominującą w kompleksie życia.

— No więc pobiegać po łąkach, uwić wianek?

— Wianek? Komsomolcy nie stroją się w atrybuty kościelne.

Była niewzruszona. Inżynier poczuł, że znowu ogarnia go złość.

— Więc nie wianek, a bukiet, do wszystkich djabłów! Czy nie chce się pani czasami potać? Zakochać się? Przecież napewno chciała by pani.

— Proszę nie sądzić po sobie.

— Tak, przyznaję, że ja to lubię.

— Dość spojrzeć na ubranie pana, żeby mieć pojęcie o pańskich zasadach.

— Czy wie pani — „można być dzielnym człowiekiem i jednocześnie myśleć o pięknie paznokci“ (*). Powiedział to pewien bardzo mądry człowiek.

— Na którym zjeździe partji?

— To nie było na zjeździe.

— Jeśli nie na zjeździe, to nie warto o tem mówić. Mało to głupstw gadają ludzie! I wogóle uważam, że ta rozmowa nie prowadzi do żadnego celu.

*) Puskín: Eugénjusz Oniegin (przyp. tłum.).

— Jeśli pani sobie życzy, możemy ją prze-
rwać.

Rozeszli się jeszcze bardziej poirytowani na
siebie, niż za pierwszym razem. Inżynier poszedł
szukać Tani; Tania właśnie rozmawiała z Żorżem.

Żorż mówił z pewnem zakłopotaniem:

— Obchodzimy dziś uroczystość rodzinną i
chcemy zaprosić Wierę. Proszę mi powiedzieć, co
ona lubi na deser?

— Na deser? Mojem zdaniem, tezy o perspek-
tywach rozwoju przemysłu cukierniczego.

— Nie, mówię zupełnie serjo. I wogóle jeśli
chodzi o nią, mam poważne zamiary na przysz-
łość.

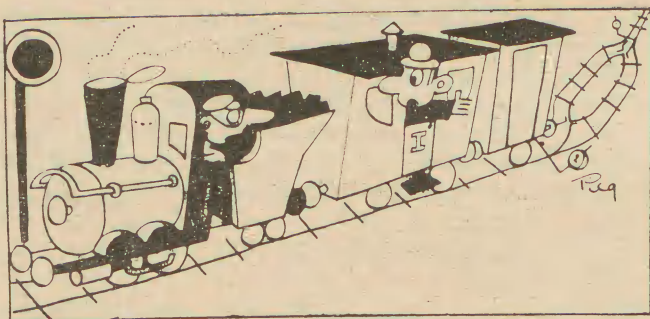
— Ach, tak?

(d. c. n.)

(Przekład H. Winawerowej).

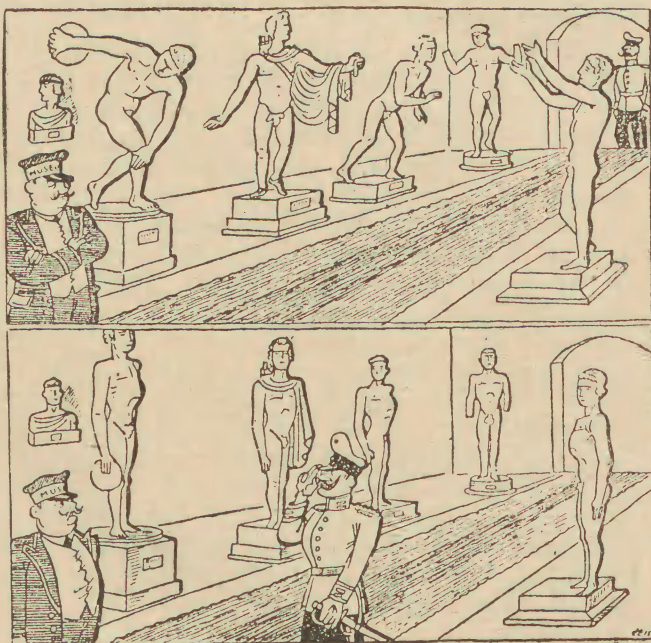
ŚWIAT SIĘ SMIEJE!

„SAMOWARKI“... PRACUJĄ,



— Zdawało mi się, że według rozkładu ten pociąg tu się za-
trzymuje.

— Zazwyczaj tak — ale stąd bardzo trudno jest ruszyć.



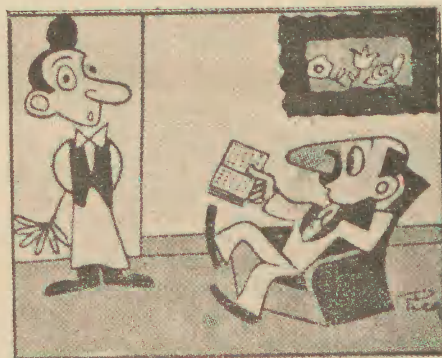
Generał zwiedza muzeum.

PRZEBUDZONY POLICJANT.



Spojrzyj no kolego, zdaje się, że nas okradziono.

„CZAS“... SIĘ WLECZE.



— Przepraszam jaśnie pana, która godzina?

— Dwunasta,

— Mój Boże, jak to czas leci, to dopiero 1/2
godziny, jak zbiłem ten antyczny wazon, a zdaje
mi się, że to już tak dawno.

U LUDOŻERCÓW.



— Oh! — jakie to mięso jest łykowate.

— Naturalnie, zawsze byłeś uprzedzony do
mojej matki.